

Świat mojego dzieciństwa i teatr

Rozmowa. – Za fasadą wolności twórczej wielu artystów uprawia grafomanię – JACEK PONIEDZIAŁEK, aktor, reżyser, tłumacz, opowiada o pracy z Krzysztofem Warlikowskim i studentami aktorstwa oraz zastanawia się, czy potrafimy jeszcze ze sobą rozmawiać

– Dużo tłumaczy Pan amerykańskiej dramaturgii, reżyseruje amerykańskie teksty. Skąd to zainteresowanie? Czy to jest jakieś powinowactwo dusz z Tennessee Williamsem? Próba przejrzenia się w nim, w jego biografii?

– Williams to dla mnie geniusz. Jego twórczość bardzo mnie inspirowała, budzi empatię, bo miał bolesny życiorys nadwrażliwca i bardzo smutny koniec. Był wnikliwym obserwatorem życia i z wielką atrakcyjnością umiał opowiadać proste historie, często o prostych przez pochodzenie, ale emocjonalnie bardzo skomplikowanych ludziach. Z miłością i czułością, będąc homoseksualistą, pisał o kobietach, ich skomplikowanych duszach, zwodniczości, cierpieniu i słabości, o wielkiej tęsknocie za miłością. Z czcią i miłością opowiadał o rodzinach, portretując swoją matkę i siostrę w „Szklanej menażerii”, ojca w „Kotce na gorącym blaszanym dachu”. O rodzicach, przeciw którym w młodości się buntował i których może momentami nienawidził. Przez matkę czuł się tłamszony, przez ojca pijaka odtrącony, a jednak ich portrety są przepiękne – to bardzo złożone, ale ujmujące ludzkie monstra, niejednoznaczne i poruszające. Ale Williams był przede wszystkim poetą, taki miał temperament, z umiejętnością dobierać słowa i tworzył z nich niemal muzyczne utwory. Jego dialogi i didaskalia to partytury fenomenalnej symfonii.

– To z powodu tej poetyckości przekład jego dramatów bywa dla Pana wyzwaniem?

– To jest bardzo trudne, choć zarazem wdzięczne zadanie. Trzeba wrażliwości i zapału, by siedzieć dzień i noc w jego szalonej głowie. Był też czło-



FOT. ARCHIWUM

wiekiem bardzo dowcipnym, śmiał się tubalnie, na widowiskach teatrów był łatwo rozpoznawalny, często zarażał śmiechem. Nawet w tragicznych postaciach jego panoptikum czuje się to czasem wisielcze poczucie humoru. Tłumaczył go to fascynująca przygoda.

– Na próbie jego sztuki „Laleczkę” nazwał Pan repertuarem dla aktora „bardzo sprawdzalnym”.

– Myślę tak o całym amerykańskim dramacie psychologicznym: Millerze, Albeem, O’Neillu. Od 26 lat gram różne postaci, często u reżyserów z tzw. teatru postdramatycznego, który cenię i szanuję, bo to jest przygoda i wyzwanie. Ale nie dzielę teatru na klasyczny i postdramatyczny, komediowy i poważny, tylko na dobry i zły. Niestety, za fasadą wolności twórczej wielu ar-

tystów teatru uprawia czystą grafomanię, podszywając się pod różne intelektualne koncepty.

– I uprawiają tzw. teatr dla krytyków?

– Albo dla samych siebie lub środowiska studentów i absolwentów międzywydziałowych studiów humanistycznych, a tzw. zwykły zjadacz chleba niewiele z tego rozumie. Często widzę wychodzi z teatru ogłupiały i pusty. Jako reżyser chcę opowiadać ludzkie historie, które w aktorskim sensie są sprawdzalne. Aktorzy nie tylko improwizują, grając co im w duszy gra. Wyzwalają ludzkie emocje, napięcia, pragnienia, marzenia, kompleksy – całą gamę stanów i emocji zapisanych w tekście. I tego się nie da oszukać, bo każdy na widowisku je zna, albo odczuwa, i to jest sprawdzalne.

– To też miał Pan na myśli, mówiąc, że reżyserując „wyrzuca z siebie przerafinowanie”?

– W jakimś sensie przywracam sobie równowagę zachwianą „nadmiarem piękna”, jaką jest konwencja teatru Krzyska Warlikowskiego. Teatru czystości, elegancji i perfekcji. Szukam czy buduję świat, w którym odnajduję doświadczenia dzieciństwa i młodości w Krakowie, takiej półwsi w centrum miasta, osiedla nędzy i brudu, wychodków, węgla, którym się pali w piecu, wody kapiącej z sufitu. Nie użalam się, to są fakty, pejzaż mojego dzieciństwa. Było smutne i trudne, ale też piękne i w gruncie rzeczy szczęśliwe, bo czułem się wolny. Nie miałem ojca, matka była zajęta i nie miała czasu na czułość. Jeśli u Williama mowa jest o systemie ratalnym, który coś może zabrać, na przykład me-

Nieraz przypomina mi się dzieciństwo spędzone w Krakowie, jak mama zamykała drzwi i gasiła światło, żeby nie wpuścić człowieka, który miał odciąć prąd, bo nie zapłaciliśmy rachunku

le, to przypomina mi się, jak mama zamykała drzwi i gasiła światło, żeby nie wpuścić człowieka, który miał odciąć prąd, bo nie zapłaciliśmy rachunku. Było też odpłombowywanie licznika itd. Ja to wszystko znam. Tworzę dziś świat, który jest niedoskonały, świat – by rzecz językiem tych ludzi – syfiasty.

– Także świat kwestii elementarnych?

– Tak, bo teatr Krzyska Warlikowskiego podejmuje często problemy pewnej elity: artystów, arystokratów, intelektualistów, przedsiębiorców czy władców. I wszystko to zanurzone jest w bardzo wysublimowanym „sosie”. W moim teatrze mamy prosty sos – surowa decha, ziemia, zacieki na ścianach, brud, zdezelowane drzwi, linoleum. I w tym świecie kobieta włoży piękną sukienkę, pomaluje usta, stanie w świetle, zaśpiewa piękną piosenkę – i mamy czystą poezję. Piękno jest w człowieku – choć wiem, jak banalnie to brzmi.

– Odnoszę wrażenie, że proponuje Pan młodym aktorom powściągliwość środków, by emocje kłębiły się pod powierzchnią. Ciekawe, bo tak też pisze się o Pana aktorstwie.

– Trudno mi siebie ocenić, choć wydaje mi się, że wychodzimy od dialogu, ale i rozmawiamy podskórnie. My obaj nie mamy ze sobą osobistej relacji, ale gdyby Pan powiedział coś, co mnie zaboli, to emocje stałyby się bardziej widoczne. Podziwiam pewien rodzaj aktorstwa, dajmy na to Andrzeja Chyry, Isabelle Huppert i Agaty Buzek, których niedawno oglądałem w „Fedrze” Krzysztofa Warlikowskiego w paryskim Odeonie. Oni „żyją sobie” na scenie, mają swoje sprawy, ale przede wszystkim bardzo specyficznie mówią – do świadka, Boga, siebie samych. Gdyby ich wyabstrahować z sytuacji teatralnej, to jakby oglądało się ludzi w kawiarni, a przecież czujesz empatię, zaczynasz podążać za nimi. To wymaga mistrzostwa, umiejętności gromadzenia wielkiej ilości energii i powściągnięcia

jej, nie wyrzucania jej z siebie. To takie umiejętne ubieranie odczuwanego dramatu w słowa. Tu nie potrzeba krzyku, szlochów, ale wielkiego kontaktu ze sobą samym i skupienia. Do tego namawiam studentów. Mamy partnerskie stosunki, ja im szczerze opowiadam różne rzeczy o mnie, oni o sobie, wymieniamy się doświadczeniami. I rozmawiamy o życiu. Bo czymże jest teatr, jeśli nie życiem? Tyle że w dużej kondensacji.

– Kiedy poczuł Pan, że teatr Krzysztofa Warlikowskiego jest też Pana teatrem?

– Od początku znajomości w szkole w Krakowie, on był na wydziale reżyserii, ja na aktorstwie. Było jasne, że to będzie nasza wspólna droga. Zbrataliśmy się jako ludzie, ale byliśmy też uczniami Krystiana Lupy. Wyszliśmy z tego samego pnia jego teatralnej filozofii. Razem dojrzewaliśmy, ucząc się teatru i kłócąc się niechętnie. W zasadzie zawsze się kłóciliśmy (śmiech). Ale też dlatego, że bardzo nam zależało, chyba z miłości do teatru, staraliśmy się wejść na ten szczyt, jakim jest udane przedstawienie teatralne. Nie mówię o karierze. Mówię o udanym przedstawieniu. To Himalaje wysiłku, wielu nieprzespanych nocy, niewyczerpanej determinacji itd. A potem pojawili się inni ludzie: Paweł Mykietyn, który robi muzykę, Redbad Klijnstra, Staszka Celińska, Andrzej Chyra, Magda Cielecka. Grupa zaczęła się powiększać i integrować. Staliśmy się dużą teatralną rodziną. Często skłóconą, skomplikowaną, jak to rodzina, ale bardzo trwałą. To moja największa teatralna podróż, która jest też ścieżką życia.

Rozmawiał Łukasz Kaczyński
©©